OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia $^{7}/_{19}$ Lutego 1868 roku.

N^r 7. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. I. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnej pod Nr. 715. | Rok IV.

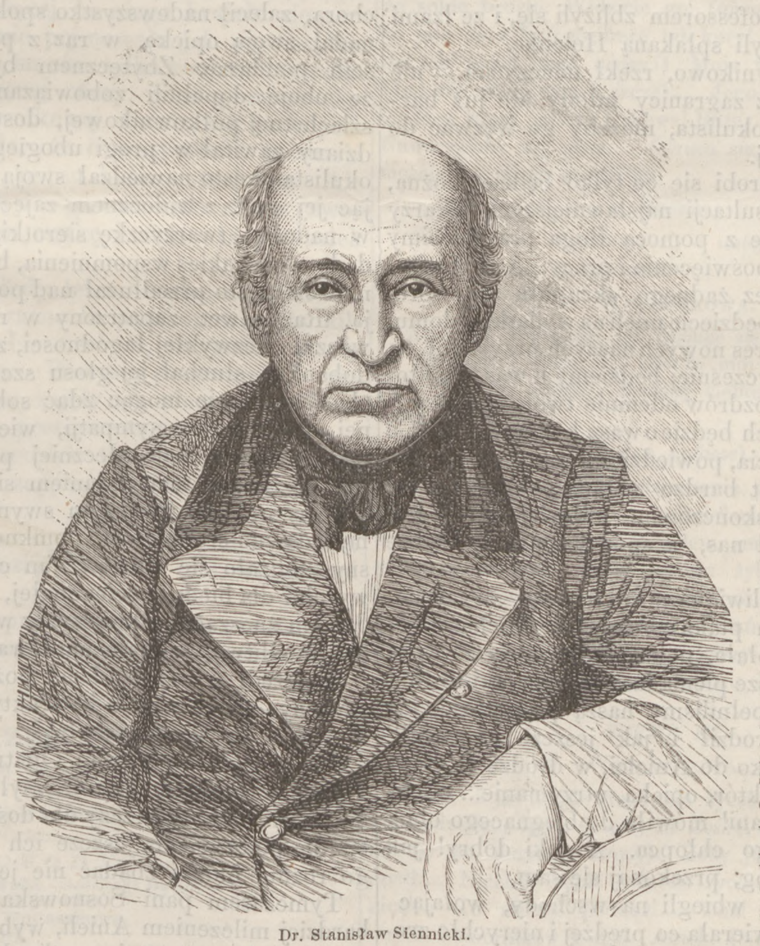
Dr. STANISŁAW SIENNICKI.

Każdy człowiek, na jakiemkolwiek przez Opatrzność mu wskazanem znajdując się stanowisku w świecie, wtedy tylko godnie spełni posłannictwo swoje i prawdziwą przyniesie korzyść temu społeczeństwu, wśród którego żyje, a nawet i całej ludzkości, gdy ze wszelką ścisłością będzie wykonywał swe obowiązki, i całem poświęceniem przyczyniał się swą pracą do powszechnego dobra.

Pomiędzy rozmaitemi jednak zawodami człowieka na ziemi, powołanie lekarza (obok księdza i obrońcy sądowego) jest bezwątpienia najzaszczytniejszem, lecz z drugiej strony i najtrudniejszem może zadaniem. Dla tego też godzien jest zaiste wdzięczności u potomnych ten, kto przejąwszy się ważnością a zarazem i trudnością swego stanowiska i pracując gorliwie w zawodzie lekarskim, przez trafne zastosowywanie nabytych wiadomości, nie jednego przecież już umierającego podniesie z łoża boleści, i niejednemu osuszy łzę rozpaczy lub nieprzerwanego smutku.

Do takich też właśnie ludzi, należał zmarły dnia 31 Października 1866 r. Dr. Stanisław Siennicki, którego pamięci słów kilka zamierzamy poświęcić.

Urodzony 10 Listopada 1801 r. w Brześciu-Litewskim, ś. p. Siennicki po ukończeniu nauk niższych, wstąpił w 1817 r. do b. uniwersytetu wileńskiego, gdzie po wysłuchaniu całkowitego kursu nauk w wydziale lekarskim, zaszczycony został w 1822 r. dnia 3 Lipca, stopniem naukowym lekarskim. Niedługo potem, gdyż tegoż jeszcze roku w Listopadzie, wstąpił do służby lekarsko-wojskowej, którą zakończył jako starszy lekarz szpitala w Płocku 1832 r. Od tego czasu, Siennicki stale przebywał w Płocku, poświęcając się cały dla dobra ludzkości — i będąc za swoją wzorową gorliwość, pracę i naukę, coraz wyższemi zaszczycany godnościami. W 1838 r. bowiem, został powołany na akuszera i członka urzędu lekarskiego w Płocku, a w 1844 roku po złożeniu egzaminów w Radzie Lekarskiej Królestwa, mianowany Inspektorem tegoż urzędu i na tej godności pozostawał do samej śmierci; prócz tego, ś. p. Stanisław w 1843 r. był powołany na Członka Rady Opiekuńczej zakładów dobroczynnych powiatu płockiego. Obdarzany coraz wyższemi i zaszczytnemi godnościami, Siennicki chlubnie się zawsze wywiązy-



Dr. Stanisław Siennicki.

wał z położonego w nim zaufania, a że godnie spełniał swe obowiązki—tego miłość i szacunek tych wszystkich co go bliżej znali, najlepszym jest dowodem. Nadzwyczajna staranność około chorych bez względu na ich dostojność lub majątek, bezinteresowność, łagodność i nauka, zjednywały mu coraz więcej przyjaciół, dla których jedyną był nieraz radą lub pociechą, wspierając także niejednego zasobem pieniężnym. Chociaż sam niezamożny, środki jednak dla przyjścia w pomoc biednym, znajdywał w wyrzeczeniu się wszelkich wygód i zabaw światowych, oddając zaoszczędzony przez siebie grosik na wsparcie nieszczęśliwych bliźnich. Stałą zasadą jego było: dawać we wszystkiem przykład z siebie, i łagodnem napomnieniem naprowadzać na dobrą drogę. Mieszkańcy też Płocka, przejęci należną wdzięcznością dla ś. p. Siennickiego i chcąc niejako uwiecznić pamięć swego dobroczyńcy, zamierzają oddać mu hołd zasłużony, przez wzniesienie z dobrowolnych składek wspaniałego pomnika. *Kazimierz Mejer.*

SIEROTA.

POWIEŚĆ

(Ciąg dalszy.- Patrz Ner 6).

Zosia wraz z professorem zbliżyli się, i ze łzami współczucia otoczyli spłakaną Helenkę.

— Pani pułkownikowo, rzekł nauczyciel — nie dawno powrócił z zagranicy młody ale już bardzo renomowany okulista, możeby go wezwać do biednej niewidomej.

— Naturalnie, zrobi się co tylko będzie można, wezwiemy do konsultacji najsławniejszych lekarzy i mam nadzieję, że z pomocą Boga przywrócimy wzrok tej ofierze poświęcenia i pracy. A ty kochane dziecię weź bez żadnego skrupułu ten woreczek z pieniędzmi, będziecie mieli na wydatki w domu. Zosieńku zapisz adres nowych naszych przyjaciół, za godzinkę a może wcześniej będziemy u was z doktorem, tymczasem pozdrów odemnie twoją zacną siostrę i powiedz niech będzie o wasz byt spokojną. Co zaś do jej nieszczęścia, powiedziałaś przed chwilą dobre dziecię, ze jest bardzo nabożną—otóż ufność i nadzieja w nieskończonem miłosierdziu Boga! powtórz to jej od nas, a spodziewam się będzie spokojną.

Helenka uszczęśliwiona pożegnawszy swych dobroczyńców, lotem ptaka zbiegła do Michasia.

— Patrzaj, zawołała, pokazując woreczek—są to już prawdziwie nasze pieniądze; widzisz jaki to Bóg dobry, zaledwie spełniliśmy naszą powinność, już nas za to wynagrodził i jak jeszcze nagrodził! Ale chodźmy prędko do Anielci, w drodze ci wszystko opowiem. Doktór, opieka, utrzymanie... o! cóż to za szlachetna Pani! mówiła do biegnącego obok siebie uradowanego chłopca. A jaki dobry! jak miłosierny jest Bóg; przekonaj się sam.

Bez tchu prawie wbiegli na wschody, wołając na Anielcię, by otwierała co prędzej i nierychło zrozumiała biedna niewidoma, cały wypadek i szczęśliwy onego rezultat. Aniela przy swojej głębokiej wierze, widziała w tem jawną opiekę Boską; podziękowawszy więc krótką a serdeczną modlitwą za tak rychłą i tak w porę zesłaną pomoc, uspokoiła się znacznie i z pomocą sierotki zaczęła się ubierać.

Tylko co Helenka zdołała uprzątnąć skromne ale schludne pokoiki, gdy przed dworek zajechał powóz. Niezadługo pułkownikowa w towarzystwie córki i młodego lekarza, weszła do mieszkania. Uprzedzony o okolicznościach, które spowodowały ślepotę u pacjentki, młody okulista z widocznem współczuciem zbliżył się do Anieli, a po troskliwem wybadaniu zawyrokował, że z wielkiego wysilenia wzrok pokrył się zasłoną, to jest kataraktą; tej wprawdzie zaraz zdjąć nie można, lecz po dojrzeniu jej a następnie operacji, za przywrócenie wzroku prawie ręczyć może. Łatwo wyobrazić sobie radość zebranych osób, szczególniej też Anieli. Korząc się Bogu i sławiąc Jego miłosierdzie, z głębi serca dziękowała przytomnym za opiekę nad sobą. Pułkownikowa uspokajała ją i zapewniała, że będzie pamiętać o potrzebach całej rodziny. Uradzono jeszcze na prośby Anieli, aby o ile można najdłużej łudzić panią Sosnowską i zatrzymać na miejscu, gdyż przy jej wątłem zdrowiu, obawiała się dobra córka wrażenia, jakieby srogie jej kalectwo spowodować na matce mogło. Pułkownikowa zatem napisała od siebie do brata pani Sosnowskiej, przedstawiając stan rzeczy i prosząc, by zatrzymał u siebie siostrę do czasu operacji, nie wspominając biednej matce o strasznym nieszczęściu córki. Młody lekarz opatrzywszy chorą, zalecił nadewszystko spokój, a zapewniwszy nadal swoją opiekę, w raz z pułkownikową opuścili poddasze. Zbytecznem byłoby nadmieniać, że oboje dopełnili zobowiązania. Za staraniem szlachetnej pułkownikowej, dostatek dawno niewidziany zawitał w progi ubogiego domku. Młody okulista często nawiedzał swoją pacjentkę a badając jej stan, z widocznem zajęciem wpatrywał się w nadobną twarzyczkę sierotki; snać rysy jej budziły w nim jakieś wspomnienia, bo zadumany pomimowoli często przedłużał nad potrzebę wizytę swoją. Raz nawet zapatrzony w modre oczęta dzieweczki niezwykłej łagodności, z szczególnem upodobaniem słuchał jej głosu szczebiocząrego z Michasiem, a nie mogąc zdać sobie sprawy z dziwnej dla dziecka sympatji, wiedziony instynktem czy uczuciem, najserdeczniej po bratersku uściskał zdziwioną tem wylaniem sierotkę.

Czas upłynął zwykłym swym trybem. Przeminęła dawno sroga zima, pomknęły urocze dni wiosny, zbliżało się lato a z nim chwila stanowczego wyroku dla biednej ociemniałej, która z całem poddaniem znosząc ciężki krzyż z wiarą, ufnością i cichą modlitwą, czekała zmiłowania Boskiego.

Nadszedł wreszcie dzień pożądany a zarazem straszny—dzień zdjęcia katarakty.

Aniela wzrok odzyskała!

Niedościgłe są wyroki Opatrzności.

Bóg wybranym swoim zsyła niekiedy ciężkie do zniesienia krzyże: czy dla doświadczenia ich, czy też dla podniesienia jeszcze ich uczuć i wiary—tego rozum ludzki zbadać nie jest w stanie.

Tymczasem pani Sosnowska niepokojona coraz bardziej milczeniem Anieli, wybierała się do Warszawy; ani namowy i prośby brata, ani zaspakajające listy Michasia i Helenki, zatrzymać dłużej kochającej matki nie mogły.

Bóg jednak chciał oszczędzić jej widoku kalectwa córki, bo czwartego dnia po zdjęciu katarakty przyjechała. Na widok Anieli, której twarzy po za osłonami i w zaciemnionym pokoju dojrzeć nie

była w stanie, przestrach i ból biednej matki opisać się nie da. Po niejakim dopiero czasie zebrawszy siły i odwagę, wysłuchała wszystkich szczegółów tyczących się ślepoty, oraz szczęśliwego rezultatu starań młodego okulisty. Błogosławieństwa i łzy wdzięczności wdowy, dla zacnych opiekunów dzieci swoich, Aniołowie przed tron Boga zanieśli: sierotkę długo —długo trzymała w objęciu, a kładąc krzyżyk na czole dziewczęcia, skinęła na Michasia ukrytego w kątku. Nie robiła mu żadnych wyrzutów za lekkomyślny postępek, bo czytała w oczach chłopca wstyd i żal, a co więcej niezłomną wolę trzymania się odtąd zasad prawych, które przekroczył.

* * *

Minął czas jakiś. Aniela już przyszła do zupełnego zdrowia, w rodzinie jednak było smutniej, aniżeli kiedykolwiek. Pani Sosnowska zwolna przygotowywała wyprawkę dla Michasia, po którego Wuj miał przyjechać za parę tygodni. Chłopiec pobladł i pomizerniał widocznie, wesołość wrodzona go odbiegła; myśl, że niezadługo, może za dni parę pożegna ukochaną matkę i siostry na rok cały, dreszczem go przejmowała i truła wszystkie chwile. Matce patrzącej na niego krajało się serce, sama jeszcze nie pojmowała jak się obejdzie bez swego jedynaka, smutna tylko konieczność zmuszała ją do tak bolesnej ofiary, gdyż pomimo ciągłej pomocy pułkownikowej Aniela tak mało pracować jeszcze mogła, że o utrzymaniu Michasia w szkołach myśleć nawet było niepodobna. Ale Opatrzność czuwała i nieprzestawała zlewać swoich dobrodziejstw na matkę i córkę, za przytułek dany sierocie.

Pewnego razu młody lekarz będąc u pułkownikowej, słyszał jak zacna ta pani opowiadała kilku zebranym u siebie osobom, wypadek zaszły w znanej nam rodzinie. Wszyscy przytomni a szczególniej panie, nader zajęły się niezwykłym charakterem i prawem postępowaniem sierotki.

— A któż byli rodzice tego rzeczywiście niezwykłego dziecka? zapytała jedna z poważnych pań.

Gdy pułkownikowa opowiedziała znane już nam szczegóły o przeszłości Helenki, taż sama pani zapytała.

— A jeszcze nam pułkownikowa nie powiedziała nazwiska, tego ze wszech miar interesującego dziewczęcia. (*Dok. nast.*)

OBRAZEK ŚWIĘTY.

Komedyjka w jednym akcie,

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

OSOBY:

Pani Dobrowska, dziedziczka Dąbrowy.
Panna Józefa, jej córka.
Gospodyni Wojtaszkowa.
Antek, syn jej.
Zośka, sierota.
Gomułkowa, wyrobnica.
Marysia, dziewczę we dworze.

(Rzecz dzieje się w Dąbrowie.)

SCENA I.

Droga za wsią — drzewa — krzewy — na boku krzyż.

ZOŚKA.

(*wchodzi z zawiniątkiem pod pachą i płacze.*)

Wygnana, wypędzona! Boże mój, Boże!.. Cóżem zawiniła?... Pracowałam od serca, gdyby u matki rodzonej, szczerze i z ochotą, a miłowałam ją, gdyby matkę. Wygnana!... (*płacze*). O moja matusieńko w niebie! O mój tatulku jedyny!... Odumarliście sieroty! (*szlocha*). Potrzeba we wsi innej poszukać służby, gdzie może daleko!.. Pożegnać tu wszystkich!... I kościołek.... i cmentarz!!... Tu żyli tatuś i matusia, tu się urodziłam!... Mój Jezu. Mój Jezu!... Wypędzona, sierota!... Ha, tocże to Boża wola!... ale dziw serce ze żalu mi pęka... (*pada na kolana pod krzyżem i modli się; wydobywa obrazek z małej książeczki, którą miała w kieszeni, całuje go i płacze*). Moja Panno Przenajświętsza, Częstochowska, Najukochańsza! co mi Ją Antek z Częstochowy przyniósł!... Jedyny Antek.... O! zlitujże się, Przenajświętsza, zlituj nad sierotą! (*modli się cicho*)

SCENA II.

ZOŚKA i WOJTASZKOWA

(*krzyczy wbiegając z miotłą w ręku*).

WOJTASZKOWA.

Tużeś tu jeszcze, niegodnico! (*zastanawia się na chwilę, widząc że Zośka się modli*). No modli się (*mówi na stronie*), niechże zmówi pacierz, a potém fora! Fora, nim Antek z pola powróci. A będzie zły gdyby osa... To i niechże sobie będzie. Widzicie go! (*ujmuje się pod boki*), niby to jaje chce być mędrsze od kury! To mi się podoba!... Ja tak chcę! (*tupa nogami*) Moja wola, bo ja matka!... Hm! nie skończyła jeszcze!... Jeno patrzeć Antka (*wygląda w stronę pola*). Uchowaj Boże, aby teraz przyszedł! Nawarzyłoby się piwa.... (*obraca się ku Zośce*) Hejże, jejmościanko. Fora ze dwora!

ZOŚKA.

(*odwraca się i wstaje*).

Cóż powiecie gospodyni?

WOJTASZKOWA.

Abo co? Widzicież ją? (*ujmuje się pod boki*). Zapytuje, co powiem?... Fora! oj, boć tu mój grunt jeszcze! Fora! fora! (*podnosi miotłę*). Niechaj ciebie oczy moje już nie ujrzą nigdy!

ZOŚKA (*płacze*).

Idę, już idę... pojdę gdzie mnie poprowadzą Pan Jezus i Matka Najświętsza!... Chciałam się tylko raz jeszcze pomodlić tutaj, gdziem niejeden zmówiła paciorek jako mała dziewuszka, kiedy jeszcze żyli ojciec i matka.... i potem zawsze.... prawie dnia każdego.... Ale już idę! (*ociera łzy i zawiniątko zabiera*). Ostańcie z Bogiem gospodyni!... Niechaj wam Przenajświętszy płaci za dobro wszelakie, a złego nie pamięta słowa... Panu Bogu oddaję! (*odchodzi*).

SCENA III.

WOJTASZKOWA.

Tocże i ja tobie złego nie życzę.... Abym cię jeno nie widziała więcej, (*patrzy za Zośką, wyciąga szyję i ogląda się na wszystkie strony*). Żeby jeno Antek nie nadszedł.... Niechby sobie była co rychlej za dziesiątą granicą!... To mi się podoba!... Ona! Zośka! córka biednych komorników i mój Antek! (*bierze się znowu pod boki*). Syn gospodarski i taka dziewucha! (*wywija miotłą*). Oj, dałabym wam, dała!... Widzicież ich! To mi się podoba.... Kasia Sroczyńskich, to mi walna dziewucha! Ojciec gospodarz, *huba* jego śliczności co się nazywa, roli, *liwentarza*,... wszystkiego podostatkiem!... Nazwali się też Sroczyńscy, choć to zowią się Sroki naprawdę.... Sroczyńscy, to niby szlachta, wcale ładnie i raźnie!... Hm, gdyby Antek nie był taki głupi, tobyśmy mogli przezwać się Wojtaszewscy. A Wojtaszewscy to ładniej je-

szcze wymówić jak Sroczyńscy. *Pani Wojtaszewska (kryguje się), Mościa pani Wojtaszewska!...* Jeno, że ten Antek taki głupi!... Pani Sroczyńska to już nieraz mówiła mi *pani Wojtaszewska.* No, bo przecie zna się na rzeczy. Kasia, Kasiuchna, odmuchnęłaby miejsce gdzie mam stąpnąć. A jak to ona stroi się ładnie! nie po wiejsku, nie po chłopsku i ma suknie ze stanem i z długiemi, szerokiemi rękawami; *gryski*, jak je zowią (*mizdrzy się); warkocz przypina grzebieniem, włoży zielone rękawiczki z pończochy* i białą chustkę w rękę! Daj go katu! Wygląda gdyby dworska panna. A mówiła przecie, że i kapelusz sobie kupi.... Antkowi to się niepodoba, zwyczajnie nie zna się na tem i mówi: że Kaśka w tej sukni wygląda gdyby pniak, bez wcięcia i szyku żadnego.... Nie zna się!... A jeszcze i ta niegodliwa dziewucha w oczy mu zalazła; kiej-no pójdzie z oczów to i z myśli, o to *fracha!...* A laboga, laboga! Cóżem się też nagniewała!... A niechże ją! (*ogląda się*). Antka nie widać, to aż lżej. (*Patrzy w stronę, gdzie poszła Zośka*) i ona het już sobie odlazła... golizna! niegodnica! gołopięta! Antka wej, *hubiarza!* Widzicież ją!... *Pani Wojtaszewska! (mizdrzy się)*. Panna Sroczyńska i pan Wojtaszewski... Jeno że ten Antek taki głupi! (*uderza w pięście*). Ale Kasiuchna będzie panią Wojtaszewską w grzebieniu, w czepie, w kapeluszu i w krzy.... w kru.... w krylo.... w *krylolinie!* (*klaszcze w dłonie*) Będzie, oj będzie!... (*ogląda się*). Polazła sobie już daleko!... Gdyby jeno Antek nie nadszedł jeszcze!... (*Patrzy w górę*). Południe nibyć jeszcze daleko!

SCENA IV.

WOJTASZKOWA i GOMUŁKOWA (*z pęczkiem trawy.*)

GOMUŁKOWA.

Niech będzie pochwalony!.....

WOJTASZKOWA.

Na wieki.....

GOMUŁKOWA.

Kogóż to tak oglądacie, Kumolko?

WOJTASZKOWA.

Kogo?... Oj, Antka.

GOMUŁKOWA.

Jeszcze nie południe. Ale cóżeście tu z miotłą robili?

WOJTASZKOWA.

Co?... Takżem, oj, wróble spłoszyła.

GOMUŁKOWA (*do siebie*).

Wykręca się! Biedna sierota. (*głośno*) A cóż to Zośka szła tak z płaczem ku Borowcowi?

WOJTASZKOWA.

Zośka!.... Zośka!.... Niegodnica! (*przystępuje do Gomułkowej i kładzie jej rękę na ramieniu*). To i słuchajcież Kumolko! Wiecie jakom tę ubogą wzięła sierotę, kiedy jej rodzice na cholerę umarli; żem ją chowała gdyby własne dziecko, bo przecie mam serce litościwe (*rozczula się nad własną dobrocią i ociera łzy udane*); nie miała krzywdy żadnej: nie żałowałam jej łyżki strawy, dawałam przyodziewek.....

GOMUŁKOWA (*niecierpliwie trochę*).

Nie byłoć też to już dziecko, a pracowała wam od rana do nocy i każdyby ją był przyjął.

WOJTASZKOWA (*nie zważa na to co mówi Gomułkowa*).

Odziewałam ją zawsze porządnie, zawsze chędogo...

GOMUŁKOWA.

No... boć też opierała się sama, dbała o siebie, a pracowała.

WOJTASZKOWA.

Abo ja na wszystko pieniądze dawała, grosz ciężki!... A kiedy, oj zachorowała (*znowu niby łzy ociera*), tom *herbaty* z apteki przyniosła i innych jeszcze leków.....

GOMUŁKOWA.

Ale co stało się teraz, Kumolko?... gadajcież!

WOJTASZKOWA (*ujmuje się pod boki*).

To widzicie, że ta niegodliwa rzuciła okiem na mojego Antka! I Antek aż głowę stracił! A wczoraj to już tam coś przebąkiwał o ożeniaczce! (*uderza pięścią w dłoń*). Niby to chce się ożenić z taką dziewuchą!... Chybaby mnie *paraluż* zabił!... Z taką dziewką! mój Antek, syn gospodarski! *hubiarz*!

GOMUŁKOWA.

Bodajżeście nagadali! Dziewuszka dobra, pracowita, pobożna...

WOJTASZKOWA (*ze złością*).

Co wy mi prawicie! (*przedrzeźnia*): *dobra*, *pracowita*, *pobożna*.... Co mi po tem!... Człek aż żółcią się zalewa.... Gospodarska córa musi być synową moją, rozumiecie? Musi mieć wiano, posag, Hę?... To mi się podoba! (*przedrzeźnia znowu*): *dobra*, *pracowita*, *pobożna*—a golizna przytem i prosta dziewa. Ojciec był komornikiem, chłopem prostym...

GOMUŁKOWA (*urażona*).

A to zaś co?! Cóżeście wy innego z waszym Antkiem, jeno chłopy?

WOJTASZKOWA (*ze złością*).

Nie co innego?! (*bierze się pod boki*). To mi się podoba! A jużci co innego nie zaś proste chłopy, nie wyrobnicy! myśmy *hubiarze! hubiarze! hubiarze!* (*krzyczy coraz głośniej*).

GOMUŁKOWA.

Ktoby się tam z wami dogadał! (*odchodzi*).

SCENA V.

WOJTASZKOWA (*sama*)

Widzicież ją! Jaka mi, oj! gołopięta! klecicha!... To mi się podoba! Jeszcze się będzie ujmowała! A skaranie ciężkie!... Widzicież ją! Gomulina! Gomuła! Całe bogactwo *gomułka!...* To też i zaraz za golizną przemawia! (*uderza ze złością pięściami*). Och! (*odchodzi w przeciwną stronę*).

SCENA VI.

GOMUŁKOWA (*wraca*).

Co też to, co też to za kobieta! Co też to za kobieta z tej Wojtaszkowej! Złośnica, jako świat drugiej nie widział!... Mój Jezu kochany! toćże tej dziewuszce nikt przyganić nie może! Pracowała szczerze, schludna, w karczmie jej nie zobaczy, a do każdej roboty najpierwsza. To i cóżby wadziło, gdyby z nią ożenił się Antek? (*Przedrzeźnia Wojtaszkową*): *golizna*, *prosta dziewa*, *a my hubiarze! hubiarze! hubiarze!* Daj-go katu! Rogi babie urosły!... Że ma kawałek roli, to i zaraz wynosi się nad ludzi. Chwal Pana Boga, a kochaj bliźniego! Pan Bóg dał, ale i wziąść może. Po co taka pycha?... (*patrzy ku polu*). To Antek biegnie!... iście Antek, (*woła*) Antku! Antku!

SCENA VII.

GOMUŁKOWA i ANTEK (*z grabiami na ramieniu*).

ANTEK.

Co to powiecie?...

GONUŁKOWA.

A toćże matka twoja wypędziła Zośkę!

Antek (*rzuca się*).

Co wy gadacie?....

Gomułkowa.

Sprawiedliwie prawda!... Wypędziła ją, wygnała, miotłą wygoniła, że aż serce krajało się, patrząc.

Antek.

I gdzież poszła?

Gomułkowa.

Oj, ku Borowcowi.

Antek.

Muszę naprzód do matki polecieć! (*odchodzi*).

SCENA VIII.

Gomułkowa (*sama*).

Walny chłopak!... Nie na rękę to będzie Wojtaszkowej!... Szczęść mu Boże! (*odchodzi*).

SCENA IX.

Zośka (*nadbiega szybko*).

Zgubiłam mój obrazek święty! Mój kochany, święty obrazek!... O Jezu, mój Jezu! (*szuka*). Jeszcze aby dobrze, żem dość rychło spostrzegła. Ten święty obrazek, to moje najukochańsze!.. Już nic tak ukochanego nie będę miała! (*szuka*). Obrazek z Częstochowy, poświęcony, a dał mi go Antek.... Moja Matko Najświętsza!... (*szuka i znajduje go blisko krzyża*). Jest! Jest! O, dziękiż ci Panie! (*pada na kolana i całuje obrazek*), Już teraz mam znowu cały mój majątek! (*powstaje*). I... dalej w świat! (*płacze*). Bo gdyby mnie znowu gospodyni zobaczyła, wymyślałaby mi okrutnie!.... O, Jezu, co to? (*spogląda zalękniona na ziemię*). To nie jaszczurka, bo się nie rusza.... Nie wstęga!... to sakiewka! Jezu mój, sakiewka! pełniuteńka złota! (*zaciska dłonie, a potem ją podnosi*). Ktoś zgubił.... Mój Boże! (*siada i brząka pieniędzmi*). Co też to za bogactwo!.... Komuż je oddać? Kto to zgubił? Taka siła złota! (*kręci głową*). Trzeba odnieść do sołtysa..... Gdybyć to moje było! (*uśmiecha się*), zarazby mnie Wojtaszkowa za Antka wydała!... (*smutno*) Mój Boże, że też to wszystko za ten grosz marny kupić można!.... No, odnieść potrzeba, bo to cudze, a ten co zgubił zapewne kłopoce się ogniście, (*powstaje*). Polecę co tchu do sołtysa; przeciebym z tego ani groszyka nie wzięła, uchowaj Boże!... Cudza krzywda, to grzech śmiertelny: ani snu! ani miru! ani łyżki strawy spożyć spokojnie! ani paciorka, co to duszne pocieszenie daje!... Sumienie, czyste sumienie, to i szczęśliwość! mówi nasz dobrodziej ksiądz proboszcz. Potrzeba znajdźbę odnieść do sołtysa, a potem dalej w świat!... O, mój Jezu!... To Antek!

SCENA X.

Zośka i Antek (*wbiega z pośpiechem*).

Antek.

Przecieżem cię znalazł! A chciałem już biedz przez pola ku Borowcowi, jak mi powiedziała Gomułkowa. I cóż tam, Zosieńko?

Zośka.

Toćżem jeszcze wróciła, bom zgubiła mój święty obrazek.

Antek.

A znalazłaś znowu?

Zośka.

Jużci, dzięki Bogu!... Ale, patrz-no, com jeszcze więcej znalazła! (*unosi sakiewkę*).

Antek (*przyskakując*).

Chryste Jezu! Co to pieniędzy! Złoto! (*przypatruje się sakiewce*). To jest wielkie bogactwo.

Zośka.

Ale oddać potrzeba, i to co ducha!

Antek.

Może jaki bogacz zgubił!

Zośka.

A choćby i bogacz.

Antek.

Twoja prawda! Choćby i bogacz. Cudzą krzywdą jeszcze nikt się niedorobił.... Potrzeba odnieść do dworu.

Zośka.

Do dworu?

Antek.

A jużci.

Zośka.

Chciałam odnieść do Sołtysa.

Antek.

Oj, lepiej do dworu.

Zośka.

Toćże i pójdę.

Antek.

Zosiu! A prawdać-to, że cię matka wypędziła na zawzdy?

Zośka (*pokazując zawiniątko*).

Idę w świat.

Antek (*bierze ją za rękę*)

Nie turbuj się, dziewuszko! Bóg na Niebie, a pamięta o sierotach. Poszukaj służby, a potem ja ciebie wszędzie znajdę.... Poproszę księdza proboszcza i matusię przekonamy, że dla mnie ty jedna tylko jesteś Zośka!... Teraz idź do dwora. Przy bramie będę czekał na ciebie.

Zośka.

Panu Bogu oddaję!

Antek.

Idź z Bogiem!

(*rozchodzą się na dwie strony*).

(Zmiana dekoracyi).

(*Dokończenie nastąpi.*)

GAWĘDY WARSZTATOWE.

LEKI SZARLATAŃSKIE.

(*Dokończenie.*)

Rozumowanie pana Wojciecha było tak jasne, że pan Jakób odpowiedzieć na nic nie mógł i nie próbował nawet. Zawsze jednak ustąpić z placu nie chciał, bo poddać się nie miło nawet w rozprawie na słowa. Wyszukał sobie w głowie zupełnie innego argumentu i ściągając do niego, tak odpowiedział:

— Wszystko to niby, panie Wojciechu, ma dowodzić, że jak kogo co boli to powinien radzić się doktora.

— Tak, — odrzekł pan Osmala.

— A ja wam powiadam, że nie. Niby to doktorzy nie mają w tem interesu, żeby jak najdłużej ciągnąć chorobę i najwięcej za nią wyssać dla siebie i dla aptekarzy pieniędzy..

Zarzut ten jest tak pospolitym, że wszyscy z ciekawością spojrzeli na pana Wojciecha, czekając co na to odpowie.

— Tak powiadacie — rzekł pan Wojciech, — a ja wam powiem, że chociażby tak było, to niczego nie dowodzi, bo i szarlatan ma także interes, żeby mieć pacjentów jak najdłużej i jak najwięcej. Dowiodę wam jednak, że doktorzy właśnie nie mają w tem interesu.

Wszyscy natężyli uszu.

— Ciekawym, — rzekł z niedowierzaniem pan Zbrożek.

— A kto tu z panów szewc, — zapytał rozglądając się po obecnych pan Osmala.

— Ja jestem, — odezwał się pan Bartłomiej Skórka.

— A no, to powiedzcież mi panie Bartłomieju, czybyście chcieli, żeby buty dwa razy prędzej się darły, a kosztowały toż samo?

— Dla czego nie — rzekł pan Bartłomiej, — my szewcy wówczas karetami byśmy jeździli.

— Ho! ho! co nie, to nie — odpowiedział z uśmiechem pan Wojciech, — dzisiaj według przysłowia chodzicie w najgorszych butach i wtenczas nie chodzilibyście w całych.

— A to dlaczego?

— Bo daleko więcej ludzi musiałoby chodzić boso; daleko więcej innych porobiłoby sobie saboty z drzewa; wielu takich, co noszą buty musiałoby się przezuć w krypcie; a ten co dziś całą jeszcze parę wyrzuca lub służącemu daruje, chodziłby w podszyciach i podzelówkach. Robotyby wam nie przybyło wcale i tak samo jak dzisiaj, ci tylko dobrzeby się mieli co nie poniedziałkują i nie piją.

— Może to wszystko i prawda—zauważył pan Jakób— ale cóż to ma do doktorów?... Jakby człowiek dwa razy częściej lub dwa razy dłużej chorował, toby zawsze musiał dwa razy więcej płacić doktora, więc doktór zawsze na chorobie zyskuje.

— I to nie, — odparł pan Osmala, — choroba rujnuje i uboży człowieka, a doktora płaci się zawsze według możności. Im częściej i dłużej człowiek chory, tym mniej doktora płacić może, a tym więcej rad i wizyt jego potrzebuje. Tym sposobem doktorzy, którzyby pracowali nad przedłużaniem i umnożeniem chorób, pracowaliby tylko nad przymnożeniem sobie pacjentów bezpłatnych i nad zmniejszeniem honorarjów, jakie otrzymują od tych co płacą. Nie przeczę, że w tej mierze są a raczej mogą być wyjątki. Doktór jest człowiekiem, a człowiek czy jest doktorem czy jakie bądź inne zajmuje stanowisko, zawsze niesumiennym być może. Ogół jednak pracuje nie tylko nie nad przedłużaniem chorób, ale nawet nad zapobieganiem im, ażeby się nie szerzyły. Skłania ich do tego nie tylko uczucie ludzkości, o brak ktorego niepodobna posądzać całej korporacji ludzi wysokiej nauki, którzy poważną i długą pracą wyrobili sobie stanowiska i praktyką całego życia zjednali zaufanie ogółu— ale nadto dobrze zrozumiany własny interes, który ich uczy, że w czasach epidemji, za pracę stosunkowo daleko większą, daleko niebezpieczniejszą, niezostawiającą wolnej godziny i odbierającą zdrowie, nie otrzymują *w stosunku do nadmiaru zatrudnienia* tyle, ile otrzymują w czasach zdrowych.

— No, toście wytłómaczyli — rzekł pan Jakób, — ale jeszcze na jedno musicie mi odpowiedzieć panie Wojciechu?

— I owszem, jeśli tylko będę potrafił.

— Doktorzy wiedzą dobrze, że nie jedno lekarstwo jest skuteczniejsze od ich mikstur; wiedzą dobrze, że nie jeden owcarz naprawdę zdolnym jest leczyć i leczy—ale nie pozwalają praktykować takim owcarzom i krytykują takie lekarstwa, ażeby nie stracili chleba.

— Zarzut stary jak świat, a przesądny jak wiara w strachy i w dydka na słomianych nogach.

— Ciekawym jak tego dowiedziecie.

— Także własnym interesem doktorów i porównaniem ich zawodu z innemi zawodami. Dzięki Bogu, minęły już czasy średnio-wieczne, kiedy przepisywacze wynalazek drukarstwa ogłaszali jako wymysł szatański, ażeby nie utracić chleba. Lecz tak samo jak niegdyś drukarstwo oparło się przepisywaczom i pokonało ich, tak i dziś wszelkie rzeczywiste lekarstwo odniosłoby zwycięztwo nad opozycją doktorów, gdyby się nawet chwycili takiej opozycji. Opór ich tyleby znaczył co protestacje woziwodów przeciw wodociągom, mydlarzy przeciw gazowi i dorożkarzy przeciw omnibusom. Dowiodłem już, że nie jest interesem lekarzy przedłużać choroby, jest to toż samo co dowieść: że ich interesem jest leczyć pewno i szybko. Z wzrostem zdrowia ogółu ludności zwiększa się jej dobrobyt, a z wzrostem dobrobytu zwiększają się honorarja lekarzy,— ztąd usiłowania do polepszenia zdrowia ogółu sposobem leczenia szybkim i pewnym, jest tem samem ze strony doktorów, co staranie się o umniejszanie sobie pracy przy zachowaniu tegoż samego dochodu.

Spostrzegając widać, że nie wszyscy dość dokładnie zrozumieli czy też że nie wszyscy dali się przekonać, pan Wojciech znowu zamierzył objaśnić przykładem.

— A no, panie Bartłomieju — rzekł, — raz jeszcze do was się zwrócę. Czy chcielibyście, żeby tak jutro wynaleźli maszyny do szycia butów?...

— A niech je tam djabli wezmą i maszyny — odrzekł pan Bartłomiej, — my szewcy z głodu byśmy poumierali.

— Otóż co nie, to nie — odparł pan Wojciech, — buty szyłyby się prędzej i byłyby tańsze; ale za to nie jeden co dziś chodzi boso część roku i tylko od święta je kładzie, mógłby je nosić codzień; inny co dziś nosi ordynarne, kupiłby sobie eleganckie i tam dalej. Tym sposobem nie stracilibyście roboty, gdyż byłoby jej więcej trzeba. Ztąd maszynę do szycia butów, rozsądni szewcy przyjęliby jako dobrodziejstwo, a tak samo — choć porównanie na pozór zdaje się niewłaściwem, — doktorzy przyjęliby każde pewne lekarstwo. Ot, dajmy na to suchoty. Lekarstwa na nie nie ma; człowiek raz choruje i umiera; doktór przy tej okazji dostaje 30 rsr. Przypuśćmy, żeby wynaleziono lekarstwo i że możnaby chorego bardzo prędko wyleczyć, Doktór by dostał może tylko 15 rsr. za to wyleczenie, ale ileż razy jeszcze potem w swem życiu człowiek ten mógłby potrzebować tegoż samego doktora i przynosić mu dochód zapadając chociażby poraz drugi na takie same suchoty?

— Żeby to jednak doktorzy słyszeli, że my tu rozprawiamy o ich zarobku jak o jakich rzemieślnikach, — zawołał ktoś z towarzystwa.

— Toby się temu nie dziwili bynajmniej — zakończył pan Osmala, — człowiek o wszystkiem sądzić musi ze swojego stanowiska, myśmy rzemieślnicy, to też po rzemieślniczemu sądzimy, a ludziom rozsądnym i oświeconym wszystko to jedno jakie robimy porównania, byleśmy ostatecznie doszli do prawdziwego o rzeczy pojęcia.

Na tem skończyła się rozmowa.

Powiadają, że nazajutrz przed oknami mieszkania pana Jakóba Zbrożka, walało się mnóstwo powyrzucanych pudełek i potłuczonych flaszek, na których były najrozmaitsze napisy, w różnych cudzoziemskich językach.

Piotr Bywały.

GIMNAZJUM I GIMNASTYKA.

Co znaczy dzisiaj *gimnazjum*, wiadomo wszystkim, ale nie każdemu, co ten wyraz znaczył u Starych Greków, z których języka przeszedł do naszego i innych, oraz zkądto poszło, że znane już i u nas systematyczne ćwiczenie ciała czyli *gimnastyka*, nazywa się pochodnem od niego słowem —kiedy jedno z drugiem zdaje się nie mieć żadnego związku. Otóż tak nie jest i związek jest tu a nawet wielki. Gimnazjami nazywają dzisiaj powszechnie te wyższe szkoły, które przygotowują swych uczniów do słuchania nauk uniwersyteckich. Urządzanie tych szkół jest rozmaite i różni się niemal w każdym kraju, oraz zmieniało się ono w różnych czasach, wedle pojęcia swoich twórców lub potrzeby i widoków rządowych. Czas nauki jest także rozmaity: w jednych krajach trwa lat ośm, a w drugich sześć, u nas zaś obecnie lat siedm. U starożytnych atoli Greków, wyrazem tym nazywano wielką publiczną budowlę, w której młódź grecka otrzymywała owo wychowanie, które zmie-

rzało do rozwinięcia i wzmocnienia sił naszego ustroju cielesnego, a zatem to: co my dzisiaj osiągnąć pragniemy w pewnej części za pomocą tak zwanej gimnastyki. Nazwę tę wzięto od słowa greckiego „*gimnazo*” które znaczy *ćwiczyć się w czem*, a które znów powstało od przymiotnika *gimnos* znaczącego *nagi;* ćwiczenia bowiem te odbywaly się zwykle bez odzieży. Do ćwiczeń tych cielesnych, dołączoną została z czasem i zabawa naukowa: schodzili się tu mówcy, nauczyciele i inni uczeni i rozprawiali w przysionku rzeczonego budynku.

Gimnazjum Starogreckie dzieliło się na dwanaście oddziałów oprócz przysionka: 1) w którym nie ćwicząca się młodzież zabawiała się gawędką; 2) gdzie się rozbierano i składano ubranie; 3) gdzie namaszczano ciało oliwą; 4) gdzie się odbywały rozmaite zapasy siły, boksowanie i t. p. ćwiczenia; 5) w którym grano w piłkę; 6) gdzie wykonywano rozmaite roboty wymagające siły i ruchu; dalej następowały kąpiele, łaźnie, aleje do przechadzki, trawniki do zabawy i igraszki i t. d.

Pierwszy taki zakład urządzony był na Krecie a potem w Sparcie, zkąd rozpowszechnił się następnie po wszystkich miastach greckich; w Atenach było aż trzy. Były one także i w Rzymie (ale tu głównie miały na celu tylko siłę cielesną), oraz w innych miastach i krajach, gdzie z czasem w rozmaity sposób przeinaczane znikły w zupełności, pozostawiwszy swą nazwę zakładom ćwiczącym także w prawdzie ludzi ale tylko umysłowo a nie cieleśnie, z wyjątkiem Francji, gdzie tąż nazwą mianują się zakłady gimnastyczne wojskowe.

Słusznie więc naukę a raczej umiejętność ćwiczenia sił fizycznych nazwano obecnie gimnastyką—a że jest ona nią a nie zabawką, dowodem tego już to, że za taką uważaną była w Grecji i w całym ucywilizowanym starożytnym świecie.

Gimnastyka starożytna dzieliła się na trzy rodzaje: na *wojskową*, która miała za zadanie szermierstwo czyli wprawę w robieniu bronią sieczną i kolną, i zasadzała się na bieganiu, jeżdżeniu konno i na wozie, skakaniu, rzucaniu kamieni, strzelaniu z łuku. i t. d. drugi nazywał się *dyjetetyczną* i miał na celu krzepkość ciała i utrzymanie zdrowia, używając ku temu oprócz wyżej wymienionych ćwiczeń, także taniec, grę w piłkę, kąpiele z nacieraniami i t. p.; trzeci zaś uczył zręczności i kształcił tak zwanych *atletów*, którzy publicznie popisywali się ze swą siłą na uroczystych igrzyskach czyli świętach narodowych: jak Olimpijskie, Istmickie i Nemeickie, które odbywały się co pewien przeciąg czasu.

Ten ostatni rodzaj gimnastyki, jako służący tylko do ohydnego zarobkowania i często ze szkodą zdrowia zapaśników, potępiony został przez Platona mędrca greckiego, zmarłego na 348 lat przed naszą erą.

Tak zwane *turnieje* średniowieczne, niczem innem były, jak tylko uroczystym popisem siły i zręczności rycerskiej czyli żołnierskiej, a zatem rodzajem gimnastyki.

Pożyteczność takich ćwiczeń pojęli już niektórzy zeszłowieczni pedagogowie, jak np. Rousseau(Ruso), ale dopiero na początku bieżącego stulecia za staraniem Fr. L. Jahna, weszły one w życie w Niemczech pod nazwiskiem *turnierstwa*.

Celem ćwiczeń gimnastycznych u starożytnych Greków, było doskonalenie i ukrzepienie ciała zarówno z duszą; w słabem bowiem ciele rzadko tylko bytuje silna dusza. Ćwiczenie więc ciała naszego jest konieczne, a że ruchy jego są dwojakie, to jest takie, które ciało samo wykonywa i takie, które wymagają czegoś obcego i poruszającego się własną siłą lub za pomocą innej jakiej—przeto rozpadają się one na dwa naturalne działy. Do pierwszego należy: chodzenie, utrzymywanie równowagi, bieganie, tańczenie, skakanie, łażenie, czołganie, padanie, rzucanie, machanie, gibanie i kiwanie się oraz pływanie; do drugiego zaś: jeżdżenie na koniu lub innem zwierzęciu albo na wozie. Jeżeli więc te ruchy mają być wykonywane prawidłowo czyli zgodnie z naturą, muszą mieć za podstawę prawa mechaniczne, które właśnie przestrzega i stosuje gimnastyka wedle potrzeby i celu zamierzonego.

Mimo tego wszystkiego, cośmy tu powiedzieli o znaczeniu i wpływie gimnastyki na zdrowie ludzkie, nie miała ona dotąd uznania u lekarzy. W ostatnich dopiero mniej więcej dwudziestu latach dostąpiła ona tego, gdy szwedzki nauczyciel fechtunku Piotr Ling dostrzegłszy, że silny ruch ręki wyleczył jednego z jego uczni od suchego bólu w ramieniu, zwrócił na to uwagę uczonych lekarzy i zastosowawszy ćwiczenia ciała do wielu chorób, ujął takowe w pewien system naukowy.

Gimnastyka lecznicza dzieli się na *czynną* i *bierną*. W pierwszej sama osoba wykonywa odpowiednie poruszenia bez wszelkich przyrządów i narzędzi lub przy ich pomocy w drugim razie nauczyciel wykonywa na niej takowe, jak przeginanie, kulanie, naciąganie, klepanie, skurczanie, tarcie i t. p., czemu tylko niekiedy musi stawiać siłę oporu. Środki powyższe wielce są skuteczne we wszelkich chorobach i niemocach kości, skurczeniach żył i muskułów, dolegliwościach brzusznych, nadmiernej otyłości, bezsenności, hypokondrji i hysterji, słabościach nerwowych i t. p. W chorobach tych są one nawet lepszemi aniżeli wody mineralne.

Ponieważ jest to już pewnikiem dowiedzionym przez badania naukowe, że ruch naszego ciała jest głównym warunkiem zdrowia fizycznego, a czynność naszego ducha głównym warunkiem zdrowia umysłowego—zatem każdego człowieka pragnącego być zarówno zdrowym na duszy i ciele, powinno być jak najusilniejszem staraniem ćwiczyć się w tem wszystkiem, czego uczono w starożytnych i uczą w nowożytnych gimnazjach. *Ad. N. Nakęski.*

PARAFJANIN.

Bajka

(NAŚLADOWANIE).

Są tacy ludzie, a nawet niestety!
Są literackie gazety,
U których tylko druhy ulubieńce
Biorą oklaski i laurowe wieńce;
Inny niech śpiewa jak Jan w Czarnolesie,
Pieśń mu w ich kole chwały nie przyniesie,
Na oklask dla niej pożałuje ręki,
Bojąc się nawet czuć jej moc i wdzięki;
Może to kogo trochę i zadraśnie,
Ale co powiem—to prawda, nie baśnie.

W pewnym kościele, gdzie sławne odpusty
Ściągały zwykle tłumy niezliczone,
Natchniony kapłan wstąpił na ambonę,
A był to istny Skarga złotousty!
Słowo skróś świętym przepełnione duchem
Z ust miodopłynnym zdrojem mu tryskało,
Malując tego świata marność całą
I myśli serce, jak złotym łańcuchem
Wiążąc z Niebiosy. Skończył sługa Boży,
I wielka cisza zaległa świątynię:
Bo każdy w skrusze przed Bogiem się korzy,
I łzy nie czując co mu z oka płynie,
Pełen błogiego rozrzewnienia ducha,
Jeszcze go pragnie, i słucha.
A gdy z kościoła lud wychodził wierny,
Rzecze ktoś: cóż to za talent niezmierny!
Jaka to słodycz! jaki zapał przy niej!
Jaka prostota, a jaka potęga!

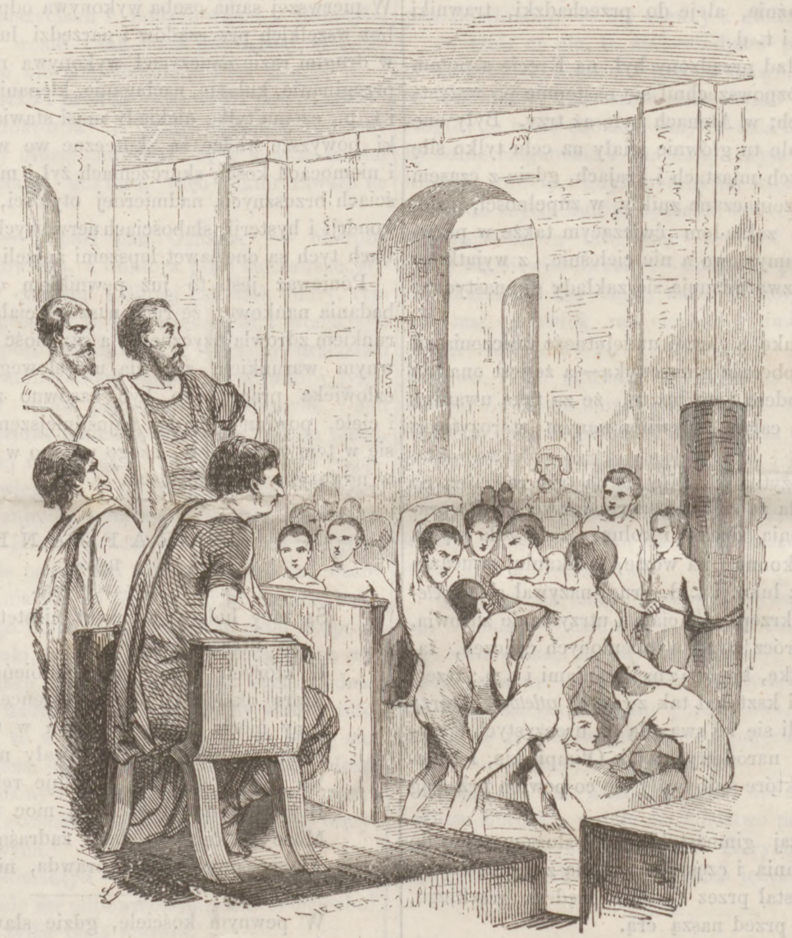
Do głębi serca najskrytszej ci sięga,
I cnotę twojem ukochaniem czyni!
A w tobie, Panie, snadź serce opoką,
Że i twarz zimną i suche masz oko;
Lub chybaś może nie rozumiał zgoła?
— Oto mi takoż!—ów na to zawoła,
Wszakżem nie głuchy i mam rozum w głowie,
To się te rzeczy zrozumieć potrafi;
Lecz po cóż z wami mam płakać, panowie,
Kiedym nie z waszej parafji?.

Adam Plug.

ROZMAITOŚCI.

— **Firanki papierowe.** Wiadomo każdemu, jak czyste firanki ubierają nawet ubożuchne mieszkanie; lecz i to nie tajną jest rzeczą, że nie tylko firanki same są kosztowne, ale i pranie ich oraz prasowanie jest trudnem i nie mało kosztuje, zwłaszcza tam gdzie paliwo jest nie tanie.

Otóż można mieć bardzo ładne i nie kosztowne firanki z papieru. Na ten cel biorą się arkusze tak zwanej bibułki angielskiej i stosownie do rozmiarów okna, sklejają się brzegami w ten sposób, żeby sklejone dały pasmo nieprzerwanej długości, wyrównywającej pojedyńczej połowie zwyczajnych firanek. Poczem składa się ten papier na tyle części, ile razy pragniemy mieć na nim powtórzony rysunek. Rysunek zaś wycina się na grubym papierze, niby patron do malowania ścian używany. Środek rysunku przedstawia zwykle koło, w którego obwodzie czynią się upodobane wzory, bacząc na to, żeby nie łączyły się z sobą lecz stanowiły rzucik. Po za obrębem obwodu koła, rysunek naśladuje siatkę kwadratową, której oczka czyli kwadraciki puste, powinny być mniejsze nieco niż czwarta część cala kwadratowego, a ścianki naśladujące samą siatkę nie szersze jak $1/6$ część cala podłużnego. Tak wycięty wzór w grubym papierze, przytwierdza się jakiemi ciężarkami lub ćwieczkami na wierzchu złożonej w kilkoro bibułki angielskiej i przyklejonej do deski gładkiej i twardej dodatkowemi listewkami papieru; które później mogą być bez szkody całości odcięte. Przez ów patron tedy na wierzchniej części złożonej bibułki, rysuje się dokładnie cały wzór i po odjęciu tego patronu, wycina się go ostrożnie idąc za śladem ołówka ostrym i delikatnym nożykiem, bacząc na to, żeby po za ołówek ostrze nie dostawało się i całości nie przerywało.



Gimnazjum starożytne (do str.) 54-ej

Po wycięciu upodobanej ilości takich połów, przytwierdza się je do zwykłych firankowych kijów czy listew, ćwieczkami na tasiemkę.

Tworząc sobie rysunek trzeba pamiętać na to, żeby srodek kół był w harmonii z siatką, to jest żeby nie był ani mniej ani więcej odeń ażurowy i harmonji nie psuł. Brzegi zaś wycinają się w okrągłe ząbki brzegi ich ozdabiają się drobnemi okrągłemi obwódkami, a środki gustowną rozetką na podobieństwo haftowanych damskich ubiorów.

Przez dwa wieczory wprawna osoba może wyciąć takich firanek do trzech dużych okien; a koszt ich nawet pół rubla nie wyniesie, zatem mniej niż jednorazowe wypranie i wyprasowanie zwyczajnych firanek.

Papierowe zaś firanki jeżeli są dobrego rysunku, który powinien być o ile można najwięcej ażurowany, i jeżeli są dobrze wycięte i gustownie zawieszone, —nader eleganckowyglądają, i nieświadomym rzeczy czemś nadzwyczajném i kosztownem na pierwszy rzut oka się wydają.

Mogą trwać więcej jak rok ale rozumie się tam tylko, gdzie dzieci nie mają zwyczaju używać firanek zamiast chustek do nosa lub ręczników, grywać w wolanta, i ocierać się o ściany i czepiać się u okien. Ludziom nie zamożnym, a nie wstydzącym się swojej chudoby, i lubiącym wszystko co piękne z pamięcią o oszczędności, rekomendujemy papierowe firanki.

ZAGADKI.

Dla czego idziemy do stołu?
— Bo stół do nas nie idzie.
Czem się różnią koleje od dróg?
— W pierwszych są oleje, w drugich rosy.
Jakie jest podobieństwo pomiędzy miłością a złością?
— Obie mają oczy.
W jakim mieście powinno być najwięcej ryżu?
— W Paryżu.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.